

Kazimierz Zamorski

Ze wspomnień asesora sądu polowego

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 3, 295-298

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZE WSPOMNIENIA ASESORA SĄDU POŁOWEGO

I. Świńska sprawa

Przy via Panisperna w Rzymie był Dom Żołnierza. Prócz pomieszczeń dla urlopowiczów, a tych nie brakło, była tam obszerna kuchnia. Piszę obszerna, bo wojakom 2. Korpusu apetyt dopisywał, a nie każdego stać było na obiad czy kolację we włoskiej osterii czy pizzerii, więc szef kuchni musiał dbać o to, by mieć gotowy zestaw tanich, lecz jakościowo wysoko gatunkowych, bo subwencjonowanych, potraw. Amatorów nie brakło. Nie przypominam sobie, by jadalnia kiedykolwiek ziała pustką, a mogłem to ocenić, bo — jeśli nie w tym samym — to sąsiednim budynku, ale o dwa piętra wyżej, mieściło się Biuro Dokumentów, w którym pracowałem, nadto ze względu na częste odwiedziny kolegów z linii, z którymi tam właśnie, na obszernym dziedzińcu przekształconym w jadalnię, przy kawie czy winie gwarzyłem.

Dodać też należy, bo to zaważy na całej sprawie, jaką mam zamiar opisać, że w tym samym budynku, na pierwszym piętrze, mieścił się posterunek żandarmerii, przed którym, ale to z całkiem innej, nie świńskiej, okazji miał miejsce incydent o wymiarze międzynarodowym, który wiele lat temu opisałem w londyńskich „Wiadomościach”¹. Zdarzyło się bowiem, że kapral Januszko² rzucił się samotrzeć na pochód komunistyczny, właśnie na via Panisperna, wydarł chorążemu czerwony sztandar, strzaskał drzewce na kolanie i umknął ze swą zdobyczą do Domu Żołnierza, który natychmiast zamienił się w twierdzę obleganą przez komunistów. Brytyjska żandarmeria, zawezwana przez polską, brytyjskim obyczajem wypracowała kompromis, a będąca pod sojuszniczą kontrolą prasa włoska wspominała tak półgębkiem o „drobnym incydencie” spowodowanym przez *un sottoufficiale polacco*.

To tylko dygresja mająca na celu: a) określenie miejsca wydarzenia; b) uwiecznienie incydentu obrazującego ideologiczne zmagania 2. Korpusu z komunizmem włoskim. C z a s: chyba lato 1945 a może wiosna 1946, bo pamiętam, że świadek, który się stawił przed sądem był solidnie spocony, a że to było po wojnie wynika z faktu, że oskarżonym był oficer, podporucznik, a może porucznik rezerwy, który przybył z ołtagu w Murnau, a więc było już po wojnie. Poznaniak, były właściciel restauracji, a więc trudno by było znaleźć bardziej kompetentnego szefa kuchni Domu Żołnierza. Istotnie jednak bohaterem czy bohaterką tego niewinnego przyczynku do historii sądownictwa 2. Korpusu była świnia. Ścisłe mówiąc to co z niej zostało: szynka, kielbasa, salceson i tym podobne przysmaki, którymi obdzielono — po cenach mocno zniżonych, można powiedzieć konkurencyjnych — załogę Domu Żołnierza, a też poniekąd wyżej stojących... ale nie uprzedzamy faktów, bo smaczek całej sprawy tkwi tam właśnie wyżej, jak i we wspomnianym posterunku żandarmerii.

Zaznaczyć muszę, że to co opisuję odtwarzam z pamięci. Swego czasu powiedziano mi w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie, że akta sądów polowych znajdują się w archiwach brytyjskich i że dostęp do nich jest raczej trudny, więc nie usiłowałem dotrzeć do tych dokumentów, tym bardziej, że moje asesorowanie, w co najmniej pięciu — jeśli dobrze pamiętam — sprawach, było dla mnie zajęciem niewątpliwie interesującym, lecz ubocznym. Upływ czasu, jak też „starość nie radość”, spowodowały, że wiele nazwisk wyleciało mi z pamięci. Z tej „świńskiej sprawy” zapamiętałem jedynie nazwisko „świadka” oskarżenia, a że w tym charakterze odegrał niezbyt chwalebny rolę, użyję zastępczo określenia „pulkownik Dwururka”.

Przyznaję, że mi się z miejsca naraził tymi złotymi gwiazdkami na naramiennikach. Była taka moda u pancerniaków, by złoto uzyskane z przemytu brytyjskich funtów sterlingów, przekuć na oznaki stopni oficerskich, co uważałem za szkodliwą fanfaronadę. Ponadto zjawił się ze *stick*-iem pod pachą, takim krótkim kijem używanym przez oficerów brytyjskich, ale nie przewidzianym

¹ K. Zamorski, *Arena*, Wiadomości 1964 nr 17 (943) s. 2.

² Nazwisko przybrane.

w żadnym regulaminie polskim dotyczącym wyposażenia oficerskiego. I jeszcze jedno: jak już wspomniałem, był spocony i wyraźnie zmęczony, z miejsca też zaczął się oglądać za jakimś krzesłem. „Czy mogę usiąść?” — zapytał. „Przed sądem wojskowym ma prawo usiąść jedynie Prezydent Rzeczypospolitej i Wódz Naczelny”, osadził go — ku memu starannie ukrywanemu zadowoleniu — przewodniczący sądu, major audytor, też chyba były jeniec Murnau.

Pułkownik Dwururka był szefem Dobrobytu Żołnierza, czyli instancji, której podlegał Dom Żołnierza, i w tym charakterze miał świadczyć w sprawie karnej o... Tu było zagadnienie kwalifikacji czynu i sam przewodniczący sądu wołał wstrzymać się od określenia przewinienia do zakończenia przewodu. Z meldunku komendanta posterunku żandarmerii, tego w Domu Żołnierza, wynikało, że z odpadków kuchennych utuczono tam świnie, którą zarżnięto, a uzyskane w ten sposób wędliny rozdzielono po śmiesznie niskich cenach wśród oficerów i podoficerów Domu i Dobrobytu Żołnierza. A przecież świnia była swego rodzaju dobrem powszechnym, tak argumentowała żandarmeria, więc te wędliny należało udostępnić wszystkim korzystającym z kuchni żołnierskiej.

Oskarżony, ten porucznik, zachowywał się dziwnie pokornie. Nie przeczył, że zarżnięto, rozdzielono, tak, sam też skorzystał z okazji. Jego obrońca, dobrze go znałem, mieszkaliśmy w tym samym hotelu, widzę go, pisząc te słowa, porucznik rezerwy, autentyczny adwokat w cywilu, bił na kwalifikację czynu. Gotów bronić oskarżonego, ale chce wiedzieć, czy tu chodzi o kradzież, oszustwo, sprzeniewierzenie, nadużycie władzy?

Przewodniczący nie spieszył się z kwalifikacją. Miał dwóch asesorów, spojrzal pytająco wpięrow na mego towarzysza, ten pokręcił głową na znak niewiedzy, więc zwrócił się do mnie i wtedy wyrwało mi się: „to świńska sprawa”. Bo przypomniał mi się klasyczny casus z wykładów prawa karnego, kiedy dwaj przyjaciele wstają od stołu w lokalu i X zostawia złotówkę dla kelnera, którą ten drugi przesuwając na miejsce, przy którym siedział. Kwalifikacja czynu: żadne przestępstwo, żadna kradzież czy oszustwo, całkiem zwyczajne świństwo. Z miejsca też podchwycił to obrońca, starając się wykazać, że ze względu na swą znikomą wagę, ta „świńska sprawa, jak to określił pan asesor”, nie powinna być przedmiotem karnego dochodzenia i to przed sądem polowym.

Zdarzają się fakty, o których filozofom... Właśnie w trakcie wywodów obrońcy spojrzalem na dokumenty, które przewodniczący sądu wydobyl ze swej teczki i rozłożył na stole. Obok meldunku żandarmerii, był spis osób uprzywilejowanych w zakupach wędlin. Zdębiałem! Pod pozycją 1: pułkownik Dwururka. Nie pamiętam, ile tam tej szynki czy kielbas mu przydzielono, względnie sam sobie przydzielił, gdyż — wprost nie do wiary! — wykaz podpisał nie kto inny tylko on, zeznający tu w charakterze świadka. Zaraz też zwróciłem się do przewodniczącego sądu, by go ostrzegł, że ma prawo odmówić ewentualnie obciążających go zeznań, bo istnieje możliwość, iż zostanie oskarżonym.

Do dziś nie znajduję usprawiedliwienia dla faktu, że: a) w posiadaniu sądu znajdował się dokument, który więcej niż jasno określał winnego przestępstwa — jeśli to było przestępstwem, klasyfikacja jest w tym kontekście obojętna — i sądnie zapoznał się z tym istotnym „załącznikiem”, godząc się tym samym na oskarżenie niewinnego i narażając się na kompromitację; b) dokumentów sprawy nie udostępniono obronie przed rozpoczęciem przewodu.

Inny problem, o którym nie mogę powiedzieć, by mi spać nie dawał, raczej mnie bawi, bo taki diablik, który we mnie siedzi, przypomina mi, że studiując — tam w sądzie — tę listę uprzywilejowanych, nie dostrzegłem nazwiska ani jednego żandarma, a przecież w tym Domu Żołnierza...

II. Ja piję alkohol

U podnóża bazyliki Trinitá dei Monti, po lewej ręce, gdy się patrzy w dół schodów Piazza di Spagna, był chyba jeszcze jest, mały pałacyk, który niegdyś należał do Marii Klementyny Sobieskiej (1702–1735), wnuczki Jana III i żony Jakuba III Stuarta. Budynek ten przeszedł z czasem w cudze ręce i przed przekazaniem go przez aliantów 2. Korpusowi, należał do Accademia Hertziana, kontynuującej i rozwijającej zdobycze naukowe fizyka niemieckiego Heinricha Rudolfa Hertza (1857–1894), odkrywcy radiowych fal elektromagnetycznych. Nigdy bym o tym nie wiedział, gdyby mi nie przyszło w tym właśnie budynku wspierać swym przypuszczalnie trzeźwym rozeznanem wymiar sprawiedliwości.

Nie pamiętam, a może nigdy mnie to nie interesowało, w jaki sposób nasze władze wykorzystywały to pomieszczenie, wiem natomiast, że oddawały do dyspozycji sądu polowego dostatecznie przestronną salkę, w której co najmniej cztery razy zasiadałem jako asesor sądu polowego. Nie umiałbym też wytłumaczyć, dlaczego mnie, ku rozpaczy mego przełożonego, szefa Biura Studiów rtm. Zdzisława Stahla, wyznaczał do tej funkcji komendant miasta.

Pierwsze dwie sprawy, które opiszę — za kolejność nie ręczę — były raczej bagatelne, w każdym razie skończyły się dość bezboleśnie dla oskarżonych.

Redaktorem naczelnym wychodzącej w Bari „Gazety Żołnierza” był Władysław Wąchała, z racji swej funkcji odpowiedzialny za treść tekstów. Było to wiosną 1945 roku, gdy 2. Korpus w drodze do Bolonii usiłował przełamać opór nieprzyjaciela nad rzekami Senio i Santerno, czas wojny, kiedy sądy polowe surowo rozpatrują sprawy. Nie pamiętam kwalifikacji przestępstwa, za które odpowiedzialny był Wąchała. Szło o autorytet dowódcy, jaki zdaniem oskarżenia ucierpiał w wyniku artykułu w „Gazecie”, w którym jakiś żołnierz uskarżał się na dowódcę kompanii w stopniu kapitana, o brutalne zręganie go. Wąchała bronił się, tłumacząc, że w artykule nie wymieniono nazwisk, ani też jednostki, w której to się zdarzyło, ale przewodniczący sądu, kapitan audytor, był zdania, że autorytet dowódcy, szczególnie ważny w czasie wojny, ucierpiał, tym bardziej, że zainteresowani zidentyfikowali incydent. Zdaje się, że ostatecznie przeważał argument redaktora, że pismo jest gazetą ż o ł n i e r z a, a więc ma nie tylko prawo, ale i obowiązek być wyrazicielem poglądów ż o ł n i e r z a, znów to słowo podkreślił, bez względu na stopień. Nie muszę chyba dodawać, że asesory podzielali to zdanie. Jakąś tam karę Wąchała dostał, nie pamiętam, naganę czy parę miesięcy z zawieszeniem, w każdym razie nadal redagował „Gazetę Ż o ł n i e r z a”.

Ukradł, czy jemu ukradli, szło o kradzież zegarka. Ta anegdota pasuje jak ulał do sprawy na tle kupna papieru, w której oskarżonym był szef Administracji Czasopism i Wydawnictw Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu por. Władysław Junosza-Kowalewski. Czy to było jeszcze w czasie wojny, czy już po 8 maja 1945, nie pamiętam, wiem natomiast, że w Rzymie mieliśmy drukarnię polową, która zżerała tony papieru na nieproporcjonalnie obfitą działalność wydawniczą Korpusu. Poza książkami drukowano tu „Orla Białego”, „Ochotniczkę”, „Na szlaku Kresowej”, „Łazika”, może też i „Dziennik Żołnierza APW”, a może i więcej — wszystkiego nie spamiętać. Obowiązkiem Kowalewskiego było zapewnienie drukarni odpowiedniej ilości papieru. Sojusznicy angielscy krzywym okiem patrzyli na te polskie książki i czasopisma, więc na ich pomoc liczyć nie mógł. Magazyny papieru na terenie Rzymu i okolicy były już puste, a jeśli coś tam jeszcze można było znaleźć, to położyli na to łapę Anglicy i Amerykanie (ich „Stars & Stripes” też się w Rzymie drukowały), więc Kowalewski ruszył na północ, znalazł papier w jakiejś firmie prywatnej, z którą zawarł kontrakt o regularną dostawę, po paskarskiej cenie oczywiście. Tu właśnie był ten pies pochowany. Nie pamiętam skąd przyszło oskarżenie, czy z kwatermistrzostwa, czy od żandarmerii na podstawie donosu kogoś, komu ten kontrakt wydał się podejrzany. Kowalewskiemu zarzucano działanie na szkodę Skarbu Państwa, bo ten papier można było kupić po niższej cenie. Krył się w tym domysł sprzeniewierzenia w formie cichej łapówki, prowizji, ale pozostał domysłem, takiego zarzutu sąd nie podniósł. Należało ustalić, czy Skarb Państwa poniósł szkodę. Rzeczoznawcą był Dariusz Biberstein-Żarnowski, dziennikarz wileński. Podobnie jak Kowalewski, skoncentrował się na trudnościach ze zdobyciem papieru. Świadek oskarżenia, chyba ktoś z kwatermistrzostwa, ale za to nie ręczę, nie bardzo się popisał, argumentował cenami, lekceważąc okoliczności. Sąd pozostawił sprawę otwartą, uzasadniając swą decyzję — to pamiętam — brakiem danych dla ustalenia, czy Skarb Państwa poniósł szkodę czy też zyskał na kontrakcie handlowym z cywilną firmą włoską. Trochę mnie to zaskoczyło, bo tu był klasyczny wypadek wątpliwości co do winy oskarżonego — *in dubio pro reo* — lecz nie protestowałem. Asesor asesorem, ale w drukarni polowej drukowały się moje artykuły prasowe, książka też, Kowalewski był dobrym administratorem, lichy wie kto na jego miejsce przyjdzie, byłem zadowolony, że bodaj tak się skończyło. Jakieś dwa, może trzy lata temu wyczytałem gdzieś — niestety, nie zanotowałem — że likwidując zaległości przed ewakuacją z Włoch gen. Anders uznał oskarżenie Kowalewskiego za niebyle. Przestał tym samym istnieć problem *in dubio*.

Następna sprawa, którą przedstawię, niezbyt smakowita. Sąd polowy na sesji wyjazdowej w Rzymie, przewodniczący kapitan audytor, nie zanotowałem nazwiska, oskarżony porucznik, nazwisko pominię. Działanie na szkodę Skarbu Państwa, ale tym razem bez wątpliwości na czyją korzyść. Porucznik należał do obsługi parku samochodowego komendy miasta w Rzymie. Prócz

wojskowych, park ten obsługiwał również cywilne samochody, przeważnie osobowe, z reguły zarekwirowane po dostojnikach faszystowskich. Ich kierowcami byli miejscowi Włosi. Sam jeździłem takim porchem przydzielonym szefowi Biura Studiów. Kierowcą był Ferruccio Pesce, uprzednio do dyspozycji jakiegoś włoskiego generała. Kierowca zakontraktowany, jeśli się nie mylę, przez władze brytyjskie, pobierał paliwo w stacji benzynowej, też brytyjskiej, na podstawie bonów wystawianych przez oficera, do którego dyspozycji go wyznaczono. Istniała oczywiście możliwość nadużyć — kierowca mógł sprzedawać na boczku benzynę, mógł też używać wozu służbowego jako taksówki, odpalając odpowiednią dolę oficjalnemu szefowi. Warunkiem było ciche porozumienie obu stron — i umiar. Tego właśnie zabrakło porucznikowi, który stanął przed sądem. Poszedł dalej niż ewentualna umowa z kierowcą oddanym do jego dyspozycji. Po prostu zatrudnił miejscowego taksówkarza jako użytkownika służbowego wozu, wystawiał bony benzynowe i inkasował dochody. Trwało to przez dobrych parę miesięcy póki zbyt częste pobieranie paliwa nie wzbudziło podejrzeń żandarmerii brytyjskiej. Nie mieliśmy litości. Kapitan audytor perswadował, tłumaczył, że kara, jakiej domagaliśmy się, półtora roku, powoduje automatycznie degradację oficera, że przestępstwo nie jest tak poważne, by iść tak daleko, lecz nie ustąpiliśmy. Wyrok: trzynaście miesięcy. Dokładnie o ten miesiąc więcej, by nastąpiła degradacja. Nie szło nam o stratę Skarbu Państwa, bo ostatecznie to były grosze, ale o honor, o godność oficera. Czy dowódca Korpusu zatwierdził wyrok czy uchylił, nie wiem.

Gdy w czasie wojny żołnierz spierze po mordzie swego przełożonego, sprawa jest gardłowa. Na polu bitwy skończyć się może natychmiastową śmiercią, w sądzie polowym, zależnie od okoliczności, rozstrzelaniem lub wieloletnim więzieniem — chyba nigdy niewinnieniem. Autorytet dowódcy to fundament i spoiwo wojska. Tak nam, dwóm asesoram porucznikom, tłumaczył major audytor właśnie w takiej gardłowej sprawie. Oskarżonym był młody żołnierz, Ślązak, który „na stał” do Korpusu, czyli zdezerterował z Wehrmachtu, jesienią 1944 roku. Od tego też czasu aż do wiosny 1945, kiedy stanął przed sądem, był kierowcą ciężarówki i przewoził to co należało z Rzymu do Ankony, czy dalej, pod Bolonię. Właśnie wrócił stamtąd, po 11-godzinnej jeździe i — lyk-nąwszy z butelki — rzucił się skonany na swe wyrko. Nie zdążył jeszcze zasnąć, gdy jego przełożony kapral obarczył go nowym rozkazem natychmiastowego wyjazdu. Żołnierz tłumaczył się, że nawet gdyby chciał, nie miał prawa jechać, bo po pierwsze przekroczył już dozwolony limit 8 godzin jazdy, po drugie nie jest pewny czy nie uśnie przy kierownicy. Kapral nie ustępował i regulaminowo „daję wam rozkaz” powtarzał. „Pierona, nie widzisz ciulu, że nie mogę”, ryknął Ślązak, wstał z wyrka, trzasnął kaprala po pysku i położył się spać. Zeznając przed sądem kapral nie przeczył, że kierowca był zmęczony, ale on, kapral, dostał rozkaz natychmiastowego transportu, nie miał nikogo do dyspozycji, więc wyznaczył tego kto był na miejscu. Ten widocznie był już „na bani”, a tłumaczył się zmęczeniem. To „na bani” podchwycił z miejsca obrońca. „Czy świadek twierdzi, że oskarżony był pijany? I pijanemu kazał prowadzić samochód?” Zbity z tropu kapral wil się jak piskorz; no nie, nie tak całkiem, ale on tak lubi pociągnąć, czy on wtedy już był zawiany, trudno powiedzieć, tłumaczył. Obrońca nie ustawał. Poprosił „Wysoki Sąd” o przesłuchanie oskarżonego na temat jego ewentualnych skłonności alkoholowych. Ta wymiana zdań utkwiała mi w pamięci. „Czy lubicie wypić?” „Taak, lubię”. „A co pijecie, wino?” Oskarżony, z wyraźnym niesmakiem i odrazą: „Ja wina nie piję, ja piję alkohol”. „To znaczy co?” „Whisky, koniak”. Mimo powagi należnej sądowi, musieliśmy się uśmieć. Ale sytuacja nadal była poważna. Choć było oczywiste, że incydent sprowokował kapral, sędzia obstawał przy autorytecie dowódcy, konieczności dyscypliny itp., ergo postępek żołnierza winien być odpowiednio osądzony. Asesorzy podchwycili intencję obrońcy i bili na ten alkohol. Był jeszcze jeden argument, niewypowiedziany, na rzecz oskarżonego: ten chłopak przyszedł do nas z tamtej strony, opowiedział się za nami, za polskością. Ostatecznie, po długiej dyskusji, major audytor zmiękł. Zgodził się z nami, że oskarżonego, jako alkoholika, należy poddać badaniom psychiatrycznym. Dalszego ciągu nie znam.

Kazimierz Zamorski (Niemcy)